



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci

Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.

PRZERWANY NASTRÓJ.

W ponure, mroczne dni
Wyje wiatr, wiatr na polu wyje,
W ponure mroczne dni,
Gdy myśl zgrzyta, a dusza rozstrojona śni,
Śni o... o... o...

— O czym śnić może dusza poety, poety, który jest zniechęcony do wszystkiego, który cierpi... deklamował Leon, ale nie dokończył zdania, bo upadł na kamień, leżący pod drzewem. Patrzył w górę, szukając natchnienia po wierzchołkach lip, gdzie gawrony gnieździć się zwykły; natchnienie nie przyszło a on tymczasem zaczepił nogę o suchą gałąź i wyciągnął się jak długi u stóp starej lipy, przyczem dopiero wyrzekł: cierpienie, ale nie duszy! Co gorsza, ubranie doznało w tym wypadku przykrego szwanku, a nasz poeta, mimo zgrzytów i zniechęceń, lubił być starannie ubrany. Upaść na kamieniu w chwili, kiedy się szuka rymu do ponurej elegii, jest wypadkiem bardzo przykrym, zwłaszcza, że taki *casus* rozbija w puch nastroje znękaney duszy, a Leon postanowił być znękanym. Gust do zgrzytów i rozstrojeń przyszedł mu niedawno. Jeszcze przed kilku miesiącami był co się zowie szczęśliwym i szczerym chłopcem, koledzy deklamowali pełne zapału i niekiedy bardzo udatne poezye Leona. Wiedział on dobrze, że nie doznał żadnego zawodu, często zwalczać musiał pokusę zbytniej wesołości, ale naczytał się poezyi o pesymistycznym nastroju i powziął przekonanie, że prawdziwy poeta musi odczuwać chociażby sztuczne cierpienia.



Biedny poeta! czemuż nie powiedział mu nikt tego, co za zasadę mieć powinien każdy twórczy duch, że ten tylko wrzusza swemi utworami, kto je sam odczuwa, że obraz, rzeźba, czy poezya wtedy są piękne, kiedy kładziemy w nie to, co mamy najlepszego, to jest proste, szczere serce.

Gdy myśl zgrzyta, a dusza rozstrojona śni... deklamował Leon, siedząc pod drzewem. Przykre doświadczenie okupione bolesnym stłuczeniem, nauczyło go szukać rymów w siedzącej pozycji.

Ale fatum ciężyło dziś nad poetą.

Fatum przybrało teraz postać psotnego braciszka. Karolek czyhał oddawna na sposobność poznania wierszy Leona, który krył je przed rodzeństwem. Skorzystał z roztargnienia poety, z bezmyślnego zapatrzenia w jakiś odległy, wysoki punkt i zaczaiwszy się za drzewem, porwał Leonowi jego nastrojową elegię.

— Drzyj Karolku i zmykaj co sił! Na szczęście masz dobre nogi, a poeta dziś szybko biegać nie może. Nie goni też brata, bo jest pierwszy raz szczerze zbolaty, chociaż duch nie ma nic wspólnego z jego cierpieniem.

Życzymy mu prędkiego wyzdrowienia z sztucznych zarówno jak i z prawdziwych dolegliwości i mamy nadzieję, że wyleczony, stanie się znów dawnym Leonem, z czasem zaś może, jeśli kształcić nie przestanie i ideały szczerze czcić będzie, istotnym poetą.

Z. Bukowiecka.



PANNA FIGLARSKA^{*)}

Krotchwila w jednej odskónie.

OSOBY:

Pani Linowska, Zofia (jej wnuczka), **Jadwiga, Wanda, Julia** (jej towarzyszki z pensyi), **Domagalska** (zaufana kłucznica), **Józefka** (służąca).

SCENA I.

Domagalska (trzymając list w ręku).

List od naszego ukochanego dziecka. Ja sama mam go przeczytać! Hm! hm, ciekawam, czego też może chcieć ode mnie ta nasza kochana panienska.

(czyta głośno),

„Kochana, pocziwa Domagalsiu, jesteś moją deską zbawienia...

(Mówi) Chryste Panie! co jej się stało?

(Czyta). „Nie mogę już dłużej na pensyi wytrzymać, mam już przeszło 18 lat, a ciągle jeszcze ślęczęć muszę nad książką. Niedługo już głowa mi pęknie od tej wielkiej mądrości. Babunia jest bez litości, utrzymując, że jestem jeszcze dzieckiem i odebrać mnie nie chce, a jednak wszystkie moje towarzyszki wróciły już do domu, a w karnawale świetnie się bawić zamierzają, przynajmniej sama moja Domagalsiu...”

(Przerywając). Boć i prawda... sprawiedliwie pisze... 18 lat i jeszcze na pensyi! Pamiętam dobrze, że na-

*) Na żądanie wielu naszych czytelniczek, dajemy komedyjkę, w której występują same panienski, i dajemy ją od razu w jednym numerze, odstawiając ciągi powieściowe do następnego. Zwracamy uwagę naszych czytelników na wzory robót dla panienek i laubzegowych, umieszczonych na okładce, oraz na książki, które prenumerujący nasi mogą nabywać w ciągu IV kwartału po cenach niższych.

(Przyp. red.)

sza pani już w 14 roku życia dobrze się bawiła, to też ja się pani wydziwić nie mogę. Czyż to dziecko nie było już dość mądre, gdy tu było na wakacyach. Co chwila mówiła do mnie: „Moja pocziwa Domagalsiu, ty tego nie rozumiesz, to należy do fizyki o tem uczy matematyka, o tem optyka wspomina, to jest po francusku, to po niemiecku, to po angielsku i Bóg wie po jakimś! Przytem miała minę tak poważną, jak profesor. Oj Boże, żeby to nieboszcza pani żyła, nie byłaby córki puściła od siebie! No, ale co też tam więcej stoi?

„Zdecydowałam się tedy, ponieważ to jutro wakacye się zaczynają, powrócić do domu, postaram się przez miesiąc pobytu u niej, przekonać babunię, że jej mogę w domu być pożyteczną, i że nie potrzebuje już damy do towarzystwa, towarzyszki mi w tem pomogą; mamy już prześlizgnięty plan kampanii wytknięty, jeżeli tylko ty nas nie zdradzisz, to przypuścimy szturm do babuni i odniesiemy zwycięstwo. Cokolwiek więc nadzwyczajnego u nas się stanie, bądź pewna, że to moja sprawka i nie przeszkadzaj. Wiem, że moja roztropna, pocziwa Domagalsia nie zdradzi swej pieszczochy i chętnie dopomoże strasznie cię kochającej Zosi.”

(Chowując list). Bądź spokojna aniołeczku, postaram się zrobić, co będę mogła.

SCENA II.

Pani Linowska, Domagalska.

Pani Linowska. Domagalska! Domagalska!

Domagalska (do siebie). Skorzystam zaraz ze sposobności, aby poprzeć jej sprawę, nie zawiodę położonego w mym rozumie zaufania.

Pani L. Domagalska, czy nie słyszysz, że cię wołam? Widzę, że już czas postarać się o jaką pomoc dla ciebie, bo ty strasznie się zestarzałaś w ostatnich czasach.

Domagalska Ja też już dawno mówię, proszę wielmożnej pani, że czasby już odebrać naszą panienskę z pensyi. Dopierożby ona nam była pomocą!

Pani L. (wzruszając ramionami). Piękna mi pomoc, przewróciłaby cały dom do góry nogami. Pomimo, że już skończyła nauki, pragnę, aby się jeszcze doskonaliła w talentach, co jest bardzo pożądanem w jej położeniu towarzyskiem.

Domagalska. Przecież i pani, miły Boże, była w tem samym stanowisku, a jednak jej nauki skończyły się o wiele prędzej. W szesnastym roku już pani...

Pani L. (przerywając). Cicho, ty się na tem nie znasz, czasy się zmieniły... nie możemy panienski tak jak jest zostawić, przeciwnie, musimy z niej zrobić bardzo wykształconą osobę i dla tego też powinna się jeszcze uczyć.

Domagalska (oburzona). Ależ pani, dziecina nasza ma już 18 lat, kiedyż więc wyjdzie na świat z tego więzienia, czy tam pensyi?

Pani L. Za rok Domagalsiu, za rok.

Domagalska (niecierpliwie). Tak, ja to już dawno słyszę... biedne pannisko! (wzdycha).

(słychać za sceną dzwonek).

Obie razem. Co to? któżby to mógł być?

Pani L. (niezadowolona). Tego tylko brakuje, aby dziś goście przyszli, kiedy właśnie nie mam panny do towarzystwa. Na tobie pocziwa Domagalsiu wszystkoby się skrupiło, a w twoim wieku byłoby to niemałym trudem.

Domagalska. Oj, gdyby tu była panienska!

(Józefka wchodzi i podaje pani L. bilet wizytowy).

Pani L. (czyta). Z Pompalińskich Bombatowiczowa (mówi). Czy nie wiesz, Domagalsiu, kto to być może?

Domagalska. Nic podobnego w życiu nie sły-
szałam. Boć to sobie język nadłamać można takim
nazwiskiem.

Pani L. Poproś Józefko, a ty Domagalsiu, za-
krzątnij się po domu, abyśmy nie potrzebywały się
wstydzic przed tym gościem, jeżeli na herbacie zo-
stanie.

SCENA III.

Pani Linowska później Jadwiga.

Pani L. Chciałabym wiedzieć, kto to być może?
Byłoby mi o wiele przyjemniej, gdybym już raz mia-
ła pannę do towarzystwa. Nie rozumiem, dla czego
mimo to, że kilka razy już były ogłoszenia w gazo-
tach, nikt się nie dowiaduje... Stara Domagalska po-
czciwa, ale można się z nią zanudzić na śmierć.

Józefka (*otwierając drzwi*). Pani z Pompalińskich
Ślepowron Bomba...

Jadwiga (*w bardzo strojnej sukni wchodzi kłaniając
się z przesadą*). Prakseida Eulalia Hermenegilda Slep-
owron, Pompalińska z domu.

(*Pani L. zdumiona odpowiada sztywnym ukłonem*).

Jadwiga. Zaraz ja szanownej pani postaram się
moje pochodzenie wyjaśnić. Mój pra-pradziadek po
kądzieli, zostawił wielki majątek ziemski, który nie-
boszczka moja prababka odziedziczywszy, wniosła
w dom potomka sławnej w dziejach rodziny Arpadów
na Węgrzech, która kilkaset lat dzierżyła w swych
rękach losy Madziarów, walecznych synów owego
znakomitego Bicza Bożego...

Pani L. Potomek Arpadów? — pani pra-pra-
dziadek...

Jadwiga. Prawda, znakomita parantela? Ale
niech szanowna pani słucha dalej. Pra-pradziadek,
zostawiwszy 3 godnych siebie synów, zszedł z tego
świata naturalnym zgonem zwykłych śmiertelników,
choć wolelibyśmy, aby taki bohater, legł z ręki
pohańców. Trzej jego synowie Dadźbóg, Bożywój
i Władław musieli podtrzymać świetność naszą: wszy-
scy trzej pożenili się z dziedziczkami znakomitych
imion, a mianowicie: Dadźbóg z żupanką Godzista-
wą Janos Hunyady...

Pani L. (*niecierpliwie*). Ależ na Boga, pani, cóż
to ma za związek z celem twych odwiedzin?

Jadwiga. Troszkę cierpliwości, łaskawa pani, to
należy do rzeczy. Mało widzę interesuje się pani he-
raldyką.

Pani L. Dajmy pokój heraldyce... Czego pani
żąda?

Jadwiga. Wracam najpierw do rzeczy. Boży-
woj poślubił Bożennę Ludgardę Szych-Galonowiczó-
wnę, Władław nareszcie zaszczycił swą ręką ks. Beatę
Dęborosłą.

Pani L. (*niecierpliwie przechadza się po pokoju*).

Jadwiga (*mówi dalej*). Z tych konarów wyrosło
27 latorośli. Dadźbóg zostawił 11, Holofernię, Pamełę,
Agapita, Amilkara, Semiramidę, Filomenę, Saturnina,
Ga...

Pani L. (*staje z oznakami niecierpliwości*). Jeżeli
wizyta pani niema innego celu, jak obznajmienie
mnie z jej rodowodem, to mam zaszczyt panią poże-
gnąć... myśl moja nie zdoła podążyć za wątkiem tak
zawitych kombinacji.

Jadwiga (*z pogardą*). Ach! pragnie pani wiedzieć,
czego ja żądam? Miałam zamiar dom pani podnieść,
grając w nim rolę damy do towarzystwa.

Pani L. (*zdziwiona*). Ach, teraz rozumiem, pani
chce być u mnie damą do towarzystwa z pensją 200
rubli rocznie?

Jadwiga. Jakże to niedelikatnie mówić o pie-
niądzach z osobą mego stanowiska. Ja mam wyższy
cel na myśli... uświetnić dom pani...

Pani L. Najpokorniej dziękuję, mnie takiej świe-
tności nie trzeba, jestem aż nadto zadowolona z tego,
co mi w udziale przypadło.

Jadwiga. A więc żegnaj, wielce szanowna pa-
ni, uwalniaj cię od mego widoku i otrząsam proch
z mych nóg na tym progu. (*odchodzi środkowemi
drzwiami*).

SCENA IV.

Pani Linowska, Domagalska.

Pani L. (*nawpół zemdlona pada na krzesło*). Tego
już za wiele!

Domagalska. Co się pani stało?

Pani L. Słabo mi. Ta doza przodków była za
silna.

Domagalska. Co?... Nie rozumiem.

Pani L. Umieram ze śmiechu. Wyobraź sobie
Domagalsiu, ta jejmościanka chciała memu domo i
dodać blasku swą obecnością (*śmieje się*).

Domagalska. A nam co potem?

Pani L. Dzięki Bogu, że się już wyniosła. Spo-
dziewam się, że jej już nigdy nie zobaczę

Józefka (*wchodzi*). Panna Scholastyka Alfonsyna
Korciówna, pyta się, czy jaśnie pani przyjmuje?

Domagalska. To pewno także panna do towa-
rzystwa.

Pani L. Prosić! (*Józefka odchodzi*).

SCENA V.

Pani Linowska, Domagalska, Wanda.

Wanda (*wchodzi zamaszycie z papierosem. Pali i od
czusu do czasu puszcza dym przed panią L.*) Dzień dobry
paniom (*kłania się, pani L. odpowiada sztywnym, a Doma-
galska grzecznym ukłonem*). Tylko co ukończyłam studia,
postanowiłam uspokoić moje wzburzone nerwy w tej
podmiejskiej ustroni (*zbliża się do Domagalskiej i klepie ją
po ramieniu*). Podobasz mi się, duszko! (*pani L. i Doma-
galska patrzą na siebie ze zdziwieniem*). Dlatego też zde-
cydowałam się przyjąć to nędzne miejsce za rb. 200,
co do licha jest trochę za mało! (*cicho do Domagalskiej*).
Jak ci się zdaje, nie dałoby się co więcej wycisnąć?
Przyjmuję jednak to małe wynagrodzenie wspaniało-
myślnie, kładąc jednak mały warunek, że robić będę
mogła, co zechcę.

Pani L. (*chłodno*). Zdaje mi się, że przyjmując
u mnie obowiązki, zastosować się pani powinnaś do
moich wymagań.

Wanda. Jesteś pani, jak widzę, za mało postępo-
wa, aby mnie pojąć. Ja zupełnie inaczej się na to
zapatruję; bo trzeba pani wiedzieć, że ojciec mój,
uczony profesor, nie mając syna, któremu by mógł
przekazać swą głęboką wiedzę, przelał ją na mnie.
Nie byłam więc wychowana według przestarzałych
zwyczajów, krępujących kobiety od samego urodze-
nia, lecz według nowych postępowych zasad. Ojciec
rozjaśnił horyzont mych myśli, i wskazał mi jako je-
dynego przewodnika mój własny rozum i silną, nie-
przełamaną wolę. Mając 3 lata mówiłam już języ-
kiem Platonów i Arystotelesów, w 7 roku zagłębia-
łam się w dziełach boskiego Tacyta, a w 10 studyo-
wałam filozofów greckich i rzymskich. Dziś, przeci-
wną jestem klasycznemu wychowaniu, pogardzam
humanizmem, a nauki przyrodnicze pochłaniają całą
moją myśl i im poświęcam się wyłącznie.

Domagalska. A więc pani, jak się rosół gotuje?

Wanda. Moje dziecko, to należy do najelemen-
tarniejszych zasad fizyki: woda przy zwyczajnem ci-
śnieniu, wre przy 80° R. 100 C., a 212 F. — na wy-
sokich górach jednak, gdzie powietrze jest rzadsze

aciśnienie mniejsze, wre przy temperaturze o wiele niższej. Ty gotujesz wodę mechanicznie, bez zrozumienia przyczyny. Odtąd starać się będę wyjaśnić ci każde zjawisko przyrody i przy gotowaniu obiadu zaprowadzę wykłady fizyki, chemii, w ogóle wykłady z dziedziny nauk przyrodniczych. (*Do pani L.*) Spodziewam się, że pani oceni moje wielkie w tym względzie zasługi, i popierać mnie będzie, ja zaś postaram się w krótkim czasie zreformować dom pani podług nowych zasad, aby stracił tę przedpotopową cechę. We wszystkim jednak musi się pani spuścić na mnie.

Pani L. Słownie dziękuję. Schowaj pani reformy dla siebie, a mnie zostaw w spokoju.

Wanda. Ależ nie ma mi za co dziękować, ja chętnie tu zostaję, aby służyć pani i moim ideom.

Pani L. (do siebie). Cóż to za dziwadło!

Domagalska. Co pani sobie myślisz. Czy nie wiesz, że pani nie życzy sobie mieć jej w swym domu, racz ją więc uwolnić od swego towarzystwa.

Wanda. Co?... Więc mię wypędzacie?

(*Cofa się rozgniewana, pani L. wzburzona siada przy stole.*)

Domagalska (czyta na str.) „Pocziwa Domagalsiu, bądź roztropna, cokolwiek u nas nadzwyczajnego się zdarzy, bądź pewna, że to moja sprawa!” pisze Zosia. Te panny do towarzystwa wydają mi się podejrzanym. Czyżby to był koncept naszej pieśczochy? Hm, hm! dziecko jest strasznie mądre! (*głośno*). Co pani myśli o tem czupiradle, które tu było przed chwilą?... I to ma być mądrością... aż mnie ciarki przechodzą, gdy myślę, że nasza panienska może być do tego stworzenia podobna! Już też wielki czas, aby wróciła do domu. Już za długo się uczy.

Pani L. Ależ Domagalsiu, czy myślisz, że to się nazywa wykształceniem? To był dziwoląg jakiś, lecz nie prawdziwie wykształcona ani uczona kobieta.

Domagalska. Szczęście, żeśmy jej się tak prędko pozbyły. (*Przysłuchując się*). Ale... czy mnie słuch nie myli? Znów ktoś zadzwonił...

Józefka (wchodzi). Panna Julia Krasnosielska.

Domagalska. To przynajmniej jakieś chrześcijańskie nazwisko!

(*Cią sami*), **Julia.**

Julia. Miałam zaszczyt wyczytać w gazetach ogłoszenie (*klania się*), w którym szanowna pani objawiła swe życzenie, aby jej jaka poetyczna dusza skracając długie godziny lekturą i dzieliła jej samotność w tym cichym domku. Rzucona na burzliwe fale życia, nie mam własnego kątką, pragnę więc złożyć skołatana mą głowę pod cichą strzechą tak zacnej niewiasty jak pani, bo: „Błogosławiony żywot w cichym własnym domu...”

Domagalska (do siebie). Ot i ta trafiła! Latanie po obłokach, pani cierpieć tego nie może!

Pani L. Zachodzi tylko pytanie, czy pani znajdzie tu ten wymarzony spokój.

Julia. O zachwycająca istoto! czytam mój wyrok w błękitie twych oczu, które mi zarazem wierność niezabudki i blask lazuru przypominają. Jakże słodki uśmiech igra na twych ustach, na których Amor zdaje się spoczywać, jak motyl na kwiecie róży! Jakże mi tu miło, jak błogo! Mam ochotę zawołać z prorokiem: Zbudujemy tu przybytki nasze, bo dobrze jest być z Tobą!” Odkryję ci me serce do głębi, lecz nie zamykaj przedemną swojego, bo wielki nasz wieszcz powiedział: „Miej serce i patrzaj w serce!” (*Po chwili milczenia*). Szukałam i znalazłam!

Pani L. I ja szukam, lecz nie znalazłam, bo nie zdaje mi się, aby nasze usposobienia się zgadzały. Nie uwierzy pani jak jestem prozaiczna!

Julia. Ja również, pani. Jestem prozaiczną, ale mój materyalizm jest wyższego gatunku. Zaledwie różana jutrzienka złotym rąbkiem ustroi lekkie i prze-

rzyste obłoki, wrywam się z objęć Morfeusza i lotem ptaka śpieszę do przybytku krówek, otoczona gronem wiejskich dziewcząt, którym przewodniczę. W tej wycieczce towarzyszą mi także ukochani wieszczki moi i podczas gdy dziewczęta oddają się swemu niepoetycznemu zajęciu, ja patrząc na wschód słońca wołam z poetą.

„Wschód jutrzienki jest wschodem życia i wesela,
Wszystko co żyje wonia, technie z kwiatów kielicha,
Wszystko co żyje, czuje i radość podziela,
Ptak śpiewa, zwierzę płasza, człowiek się uśmiecha...”

Pani L. (przerwywając). Obawiam się, czy pani nie za mało patrzy na mleko, a za wiele na słońce.

Julia. A cóż to szkodzi? dość, że będę w oborze.

Domagalska (do pani L.) Zdaje mi się, że ma zajączki.

Pani L. Gdybyśmy się jej mogły pozbyć jak najprędzej!

Julia. Namęczywszy się dzień cały, zniósłszy po bohatersku wszystkie trudy i znoje życia codziennego, nasłuchawszy się prozaicznych rozmów kucharki, pomywaczek i parobków, przysposobiwszy pokarm dla ciała, pójdę w twojem towarzystwie, o pani, szukać pokrzepienia dla duszy i serca. Siądziemy w cienie altanie i marzyć będziemy, korzystając z chwili:

„Kiedy ze srebrzystą tęczą
Wyjdzie bład pierścionek Dyany,
Wszystkie się wtedy słowiki rozjęczą
I wszystkie liście na drzewach zabrzęczą.
I wszystkie źródła jęk wydają szklany —
O! w takiej chwili, ach, dwa serca płaczą,
Jeśli coś mają przebaczyć — przebaczą,
Jeżeli o czem zapomnieć — zapomną!

Pani L. Ależ pani, jam już na to za stara!

Julia. Stara? Czyż pani nie wie, że:

„Włos biały korona,
Skoro tylko wśród łona
Święta iskra uczucia ci gości!”

(*Zbliżając się do pani L. i zapalając się coraz bardziej*).

„Pójdziemy razem na śniegu korony!
Pójdziemy razem na sosnowe bory,
Pójdziemy razem, gdzie trzód jęczą dzwony!
Gdzie orły, skrzydeł rozwianych żalobą
Rzucają cienie na lecące chmury!

(*Chce ją uściskać*).

Pani L. (usuwa się). Dziękuję pani za jej dobroć, ale radzę poszukać innego miejsca dla swoich poetycznych uniesień, bo o ile uwielbiam prawdziwą poezję, o tyle naciąganiem jej się brzydzę.

Julia (zdziwiona). Jakto? czy mnie słuch nie myli. Nie chcesz mnie pani za towarzyszkę? Ale nie, nie, ja cię nie opuszczę. Zostaję!

Domagalska. To nic nie pomoże. My tak napszonej osoby nie potrzebujemy.

Julia (do pani L.)

„Daj mi rękę, luba moja,
Wymów słówko, a zostanę.”

Domagalska. Pani Linowska uwalnia panią.

Pani L. Żegnam panią (*wychodzi bocznymi drzwiami*).

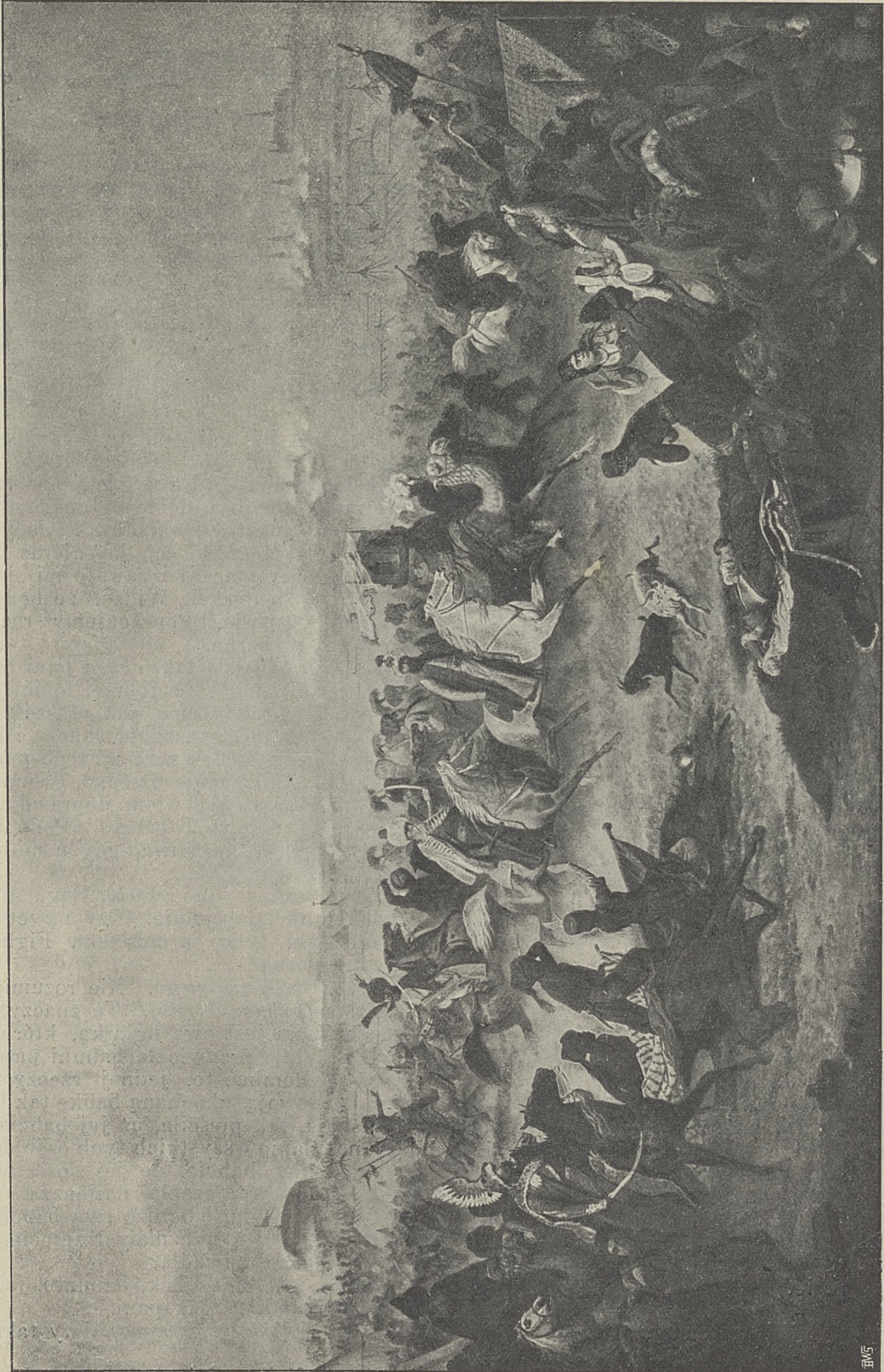
Julia. Czy to sen?... Nie chcą mnie, więc pójdę tam:

Skąd pierwsze gwiazdy na niebie świecą.
Spójrzę w lecące po niebie łabędzie,
I tam polecę, gdzie one polecą.
Bo i tu — i tam — za morzami i wszędzie,
Gdzie tylko posułem przed sobą myśl biedną,
Zawsze mi smutno, i wszędzie mi jedno,
I wszędzie mi źle — i wiem, że źle będzie!

(*Kończąc ostatnie wyrazy, wychodzi*).

Domagalska. Chwała Bogu, że się wizyta skończyła! miałyśmy dziś przyjemności do syta!

January Suchotolski.



Uciezka Kary Mustafy po pogromie pod Wiedniem d. 12 września 1683 r.

Domagalska sama, później Zosia.

Domagalska (*chodząc niespokojnie po pokoju*). „Cokolwiek u nas nadzwyczajnego się zdarzy, bądź pewna, że to moja sprawka,” pisało dziecko. Że tu się dzieje coś nadzwyczajnego, to pewna, nie mogę uwierzyć, aby te wszystkie waryatki, które tu były przed chwilą, nie umówiły się z sobą, aby nam dokuczyć!... Panienska nasza jest bardzo mądra! (*bierze się pod boki*), a tu jeszcze każą się jej uczyć! Między nami mówiąc, zdaje mi się, że pani już trochę zmiękla i gdyby ta mała figlarka się tu zjawiała, nie gniewałaby się wcale. Wczoraj idąc na spoczynek, wzdychała ciągle, co u niej nie jest bez znaczenia. Widocznie tęskni za wnuczką i radaby ją mieć w domu... (*Zamyśla się*).

Zosia (*w kapeluszu osłonięta gestym welonikiem*). Sza Domagalsiu, sza!

Domagalska (*przestraszona*). Wielki Boże! nasza panienska!

Zosia (*kładąc palec na ustach*). Na Boga, nie zdradzaj mnie, chciałam ci się tylko zaprezentować w tym nowym stroju.

Domagalska (*zbliża się i ogląda ją na wszystkie strony*).

Zosia. Ależ, Domagalsiu, to ja w mojej własnej osobie. (*podnosząc welonik*). No, a teraz poznajesz mnie? Ale co tam! prędko do rzeczy... Co robi babunia? Jak jej się podobały panny do towarzystwa, które jej przysyłałam? Czy wybrała którą? (*śmieje się*).

Domagalska. Jeszcze czego! Zupełnie już jest zniechęcona i myślę, że gdyby zobaczyła swe dobre dziecko, swą ukochaną wnuczkę, to...

Zosia. I ty mnie dzieckiem nazywasz... Czyż nie urosłam?... Pocałuj mnie! Mówisz więc najdroższa, że babcia trochę zmiękla... a więc mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze... Żegnaj mi pensy! Nasi górą, Domagalsiu! Odwagi tylko i wytrwałości, a wszystko jakoś będzie.

Domagalska. Ależ na miłość Boską, nie mów tak głośno, gotowa babunia usłyszeć.

Zosia. Prawda, prawda! (*całuje ją*). Kochana, droga Domagalsiu, dopomagaj mi ile tylko możesz.

Domagalska. Bądź tego pewna. Ale oto i pani. (*Zosia ucieka, zanim ją p. L. spostrzedz może*).

SCENA VII.

Domagalska, Pani Linowska.

P. L. (*rozglądając się*). Jesteś sama? Zdawało mi się, żeś z kimś rozmawiała przed chwilą.

Domagalska (*zakłopotana*). Ach, pani, to stare przyzwyczajenie... mówiłam sama do siebie, rozmyślając o naszym kochanym dziecku, pannie Zosiuni.

P. L. I ja o niej myślałam. Zastanawiałam się nad tem, czy nie byłoby lepiej zabrać Zosię do domu, brak mi jej bardzo... Codzień jestem starszą i może nie będę już miała czasu nacieszyć się moją wnuczką.

Domagalska. Święte słowa pani. Na świeżem powietrzu biedne dziecko prędzej wyzdrowieje, niż w mieście.

P. L. (*śmiejąc się*). Wiesz Domagalska, żeś się minęła ze swoim powołaniem. Byłabyś doskonałym adwokatem.

Józefka (*melduje*). Panna Zofia Figlarska. (*Zosia wchodzi*).

P. L. (*siadając*). Boże wielki, znów się zaczyna. Już mam tych wizyt dosyć.

Domagalska. Spróbujmy raz jeszcze. Może tym razem zobaczymy jakąś rozsądną osobę.

Ciż sami. Zofia (*zawołowana*).

Zosia (*klania się grzecznie i zmieniawszy głos mówi*). Wyczytałam w gazetach, że szanowna pani poszukuje damy do towarzystwa — przyszedłam ofiarować moje usługi.

P. L. (*wstaje szybko i mówi do Domagalskiej*). Ten głos mi kogoś przypomina.

Domagalska. A prawda... podobny do głosu naszej panienski!

Zosia. Jeżeli tylko pani nie wymaga wielkiej uczności.

P. L. (*przerwywając*). Ależ nie, nie szukam wcale skarbnicy mądrości! Chcę mieć w domu miłą, wykształconą osobę, któraby potrafiła rozerwać mnie swą pogadanką, wyręczyć trochę w gospodarstwie i pomóc w bawieniu gości.

Zosia. Uczylałam się dobrze na pensyi, gram, nawet śpiewam troszkę...

P. L. (*do Domagalskiej*). Ta młoda panienska podobna mi się bardzo, a głos jej przypomina mi nieco Zosię.

Domagalska (*filuternie*). I mnie się ona strasznie podoba.

P. L. A na gospodarstwie zna się pani choć trochę?

Zosia (*zmięszana*). Na gospodarstwie znam się wprawdzie mało, ale przy dobrych chęciach jakoś to pójdzie; zresztą mam 365 obiadów i „Jedynie praktyczne przepisy,” podług których już nieraz przygotowywałam różne przysmaczki i zawsze mi się udawały.

P. L. (*śmiejąc się*). Widzę, że będę miała z pani doskonałą gosposię. Popracujemy razem, a obiady nasze będą wyborne.

Zosia (*wesoło*). O tak, droga pani (*całuje ją w rękę*). Widzę, że mi tu będzie dobrze, lepiej jak na pensyi, gdzie się jest uwięzioną jak ptaszek w klatce. Od czasu jak stamtąd wyszłam, skaczę i śpiewam dzień cały (*z przymileniem*). Wszak mi tego pani nie zabroni?

P. L. O nie, moje dziecko. Ja bardzo lubię wesołość (*do siebie*). Nie wiem doprawdy, skąd mi ona wydaje się znajomą? (*głośno*). Podoba mi się pani bardzo, i będę szczęśliwa, gdy u mnie zechcesz pozostać.

Zosia (*całując ją po rękach*). Bogu niech będą dzięki! pani mnie przyjmuje! Czy nawet i wtedy, gdybym nie była tylko z nazwiska Figlarską, ale prawdziwą figlarką?

P. L. (*ze zdziwieniem*). Nie rozumiem.

Zosia (*podnosi welonik*). To znaczy, babciu droga, że twoja Zosia jest ową figlarką, która się na pensyi dobrze uczyła i przywiozła babuni patent z ukończenia nauk. Pomimo to, jednej rzeczy nie odczyta się nigdy, t. j. swoją ukochaną babkę tak będzie kochała, tak ścisłała, tak pieściła, aż jej babcia z serca przebaczy nasyłanie wszystkich tych osób do towarzystwa, aby przekonać babcie, że jej Zosia będzie do towarzystwa i do wyręczenia najlepsza, bo już urosła, nauczyła się wiele, i bardzo swą babcie kocha.

P. L. Co? to ty, mały trzpiocie, tyś mi nasłała te wszystkie dziwadła?

Zosia (*pokornie*). Tak, babuniu, ja.

Domagalska. Tak pani.

P. L. (*udając rozgniewaną*). I ty także należysz do spisku?

Domagalska. I ja potroszę; ale takie to nasze dziecko mądre, że tak wszystko umiało zgrabnie urządzić!

(*Zosia, otworzywszy drzwi wola przyjaciółki, które wchodzi w swych kostiumach i kłękając przed p. L.*).

(*Razem wszystkie*). Łaski! Przebaczenia!

(*Zastona spada*).

Marya Weryho.

Z DANII

(Notatki Janka).

Dania niewielki to kraik, zajmuje zaledwie 694 mil kwadratowych i składa się z półwyspu Jutlandzkiego, między morzami Bałtyckim i Północnym oraz z kilku wysp. A jednak po wielu przejściach, po rozmaitych szczęśliwych i nieszczęśliwych wojnach, w których raz nawet w połowie XVII wieku przyszedł im z pomocą Stefan Czarniecki, Duńczycy w ostatnich latach kilkadziesiątu zdołali pod względem oświaty i dobrobytu tak urządzić swoją ziemię, że mogą śmiało służyć za wzór innym narodom. Z tego powodu zapoznając się choćby pobieżnie z bytem współczesnym tego kraju, o którym niewiele dotąd wiedziliśmy, uważamy za zajmujące i pożyteczne dla naszych czytelników (*Przyp. red.*)

Wyjazd.

Witam cię, czytelniku, i przypominam się twej pamięci, jestem ten sam Janek, który w roku zeszytym pisywał do „Wieczorów” „Co widziałem w błotach i kałużach.” Otóż tego lata widziałem również bardzo ciekawe rzeczy; co prawda zupełnie innego rodzaju, ale zajęły mnie wielce, dlatego uprosiłem redakcyę „Wieczorów,” żeby mi pozwoliła podzielić się z wami moimi nowymi wrażeniami.

Cały miesiąc spędziłem w Danii, a że podróżowałem z ojcem, więc wszystko oglądaliśmy razem. Słowem byłem prawdziwym podróżnikiem: a starałem się zachowywać w ten sposób, żeby tatuś nigdy nie przypominał mi, iż jestem dzieckiem: naśladowałem we wszystkim starszych. Przynajmniej starałem się nie zaśluzić na strofowanie. A to dlatego, że przed wyjazdem naszym rodzice długo się naradzali, czy warto mnie zabierać w tak daleką podróż.

Gdyby ojciec ze mną miał jakiś kłopot, podróż jego byłaby zmarnowaną, nie wypocząłby wcale, jak sobie tego życzył. Więc też chciałem, żeby tatuś tego nie żałował i zdaje mi się, że dopiąłem celu. Dnia 15-go lipca o godzinie 4-ej p. p. byliśmy na kolei wiedeńskiej. Odprowadzała nas mama, babcia i kilka osób znajomych.

Nie posiadałem się z radości: jechać tak daleko koleją, potem morzem, a potem jednocześnie i morzem i koleją, jak mię tatuś uprzedził; widzieć zupełnie inny kraj, morze, okręty było to mojem marzeniem.

Trzeci dzwonek... gwizd... i jazda!

O godzinie dziesiątej stanęliśmy w Aleksandrowie, na granicy, od 12-ej przejeżdżaliśmy Prusy.

Do Berlina prędko mi droga zesza, bom spał oparty na ramieniu ojca. O położeniu się mowy być nie mogło z powodu natłoku pasażerów.

Nad ranem obudziło mnie przeraźliwe syczenie lokomotywy, bo wjeżdżaliśmy na stacyę, podobną do dużej oszklonej hali.

Na razie nie wiedziałem, gdzie jestem, ale ruch pasażerów i słowa ojca prędko mnie otrzeźwiły. Wsiadliśmy do dorożki, żeby przejechać na drugi dworzec.

— Jeszcze koleją pojedziemy do Warnemunde, powiada tatuś, a wtedy podróż będzie przyjemniejsza, bo statkiem.

— A będę mógł siedzieć na pokładzie? — pytam ojca.

— Będiesz mógł.

— O której godzinie staniemy nad morzem, bo chciałbym je z daleka widzieć?

— Około drugiej, masz tu mapę, to się rozejrzysz, którądy jedziemy. Oto jest półwysep Jutlandya; a dalej same wyspy, z których się Dania składa. Teraz jedziemy do Kopenhagi, która leży na wyspie, a przedtem przejeżdżać będziemy dwie wyspy Falster większą i malutką Masnedo. Tam wsiądziemy znowu na kolej, potem promem do tej małej wysepki i wjedziemy na dużą wyspę Zelandyę, gdzie nad brzegiem morza spędzimy lato.

Wszystko tak się stało, jak mi tatuś objaśnił.

Jechaliśmy dużym statkiem. Statek płynął szybko, a chociaż wiał dosyć silny wiatr, przecież kołysanie statku było nieznaczne.

Przepięknie wyglądało morze, pokrywając się tu i owdzie białą pianą, z powodu nieustannego kołysania się fal.

Jechaliśmy przeszło dwie godziny, potem wsiadliśmy znowu na kolej, a potem... stało się coś nie-



Ogólny widok Kopenhagi.

zwykłego: pociąg doszedł do brzegu morza, zatrzymał się na chwilę, a potem wszedł na statek ze wszystkimi wagonami i pasażerami. Było to bardzo zabawne. Statek stał tuż przy brzegu i miał przez środek ułożone szyny. Siedziałem w wagonie kolejowym i jechałem statkiem! Wyglądałem najpierw z okien wagonu, a potem zeszedłem na pokład i chodziłem po nim, aż dopłynęliśmy do brzegu. Niedługo dał się słyszeć dzwonek, pasażerowie musieli wchodzić do wagonu.

Jechaliśmy teraz przez wyspę Zelandyę. Cały czas wyglądałem oknem, ażeby powziąć jakieś pojęcie o charakterze nowego kraju.

Jest to płaszczyna; gdzie sięgnąć okiem wszędzie widziałem pola i łąki, gdzieś tam tylko przecinają je piękne lasy bukowe.

Po trzygodzinnej podróży stanęliśmy w stolicy Danii — Kopenhadze.

Tym sposobem podróż nasza z Warszawy do Kopenhagi trwała 27 godzin. Ale mnie się nie dłużyło wcale, ani nie czułem zmęczenia. Po kolacyi w hotelu, tatuś oznajmił, że jutro pójdziemy od rana zwiedzać miasto. W tej błogiej nadziei poszedłem spać, choć była zaledwie godzina 9-ta wieczór.

ZE ŚWIATA.

Wystawa rolnicza w Dźwińsku. W połowie września Witebskie Towarzystwo Rolnicze, którego prezesem obecnie jest p. Stanisław Łopaciński, urządziło Wystawę Rolniczą dla upamiętnienia 25-o lecia swego istnienia. Wybrano na miejsce dla Wystawy największe i najdogodniejsze pod względem komunikacji położone miasto w guberni; Dźwińsk leżące w malowniczej okolicy nad brzegami Dźwiny i przy zbiegu kilku linii kolejowych. Zjazd był bardzo liczny i przyjezdni mieli sposobność obejrzenia wielu pożytecznych rzeczy, z różnych dziedzin gospodarstwa i przemysłu wiejskiego, a zwłaszcza mleczarstwa, które w tamtych stronach stoi bardzo wysoko.

Z tego powodu powiemy parę słów o samym mieście, w którym mamy kilku czytelników. Dźwińsk liczy obecnie około stu tysięcy mieszkańców, w tem najwięcej Żydów, potem Łotyszów i Białorusinów. Dość schludne i rozległe; posiada ogromną fortecę, zbudowaną w pierwszej połowie zeszłego wieku, która teraz jest wielkim składem wojskowym, dwa kościoły, kilka ogrodów miejskich i t. p. Na ogół wygląda dość ładnie ale najbardziej malownicze są przedmieścia nad Dźwiną, jak Pohulanka i Grzywka.

Dźwińsk jest miastem starożytnym, bo w XIII wieku założonem, należał czas długi do Kawalerów Mieczowych, lecz pamiątek po nich nie zostało. Obecnie jest miastem powiatowym, handlowym i wielce ruchliwym.

Nieznośny gaduła. Wśród różnych imion wielkich i wspaniałych ludzi słyszeliście zapewne też o Arystotelesie filozofie greckim, który żył w IV wieku przed Nar. Chr. Otóż kiedyś jakiś nieznośny gaduła, wynudziwszy Arystotelesa swoją bezsensowną paplaniną, zapytał w końcu, czy go nie zadziwia to tak ciekawe opowiadanie?

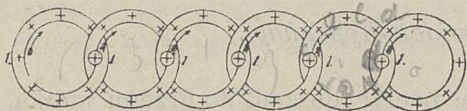
Arystoteles odrzekł z powagą.

— Jeśli mię co dziwi, to chyba tylko to, że ludzie mając nogi do zmykania, wystawiają swoje uszy na słuchanie podobnych bredni,

ZADANIA.

ŁAMIGŁÓWKA PIERŚCIENIOWA.

uł. Aes dla Azurei.



W każdym pierścieniu znajduje się 8 krzyżyków, które wskazują ilość liter w wyrazach, mających być wstawionymi w pierścienie. Strzałki wskazują kierunek, w jakim wyrazy należy czytać. Pierwsza litera każdego z sześciu wyrazów, powinna stać w miejscu krzyżyka oznaczonego jedynką; wszystkie zaś litery, naznaczone jedynkami, złożą nazwę jednego

z większych miast w Królestwie Polskiem. Zauważyć przytem należy, że każde dwa sąsiednie pierścienie mają po jednej wspólnej literze, która tym sposobem wchodzi w skład dwóch sąsiednich wyrazów.

Znaczenie wyrazów: 1) Port przy ujściu rzeki Zambezi w Afryce. 2) Oszlone skrzynie do hodowania roślin. 3) Wyspa z grupy Palos w Australii. 4) Miasto powiatowe w gub. Podolskiej. 5) Słynny poeta hiszpański. 6) Twórca tragedii greckiej.

REBUS.

uł. Aes dla Iris.

A. Calderon

ROZWIĄZANIA DO N-ru 37-go.

Figla: Komendant ustawił żołnierzy 25 50 25
w sposób pokazany na rysunku 50 50
25 50 25

Zadania konikowego.

Rozważaj, gdy masz co rzec ochotę,
Srebrna jest mowa, milczenie — złote.

Zadania na synonimy:

Dar. — **Echo.** — **Okrag.** — **Tkliwość.** — **Yukka.** — **Miasto.** — **Arka**
Deotyma.

Trafne rozwiązania zadań konkursowych z N. 37-go nadał następujący czytelnicy:

1) wszystkich trzech zadań — Wisienka, Mazur, Ed. Domagalski, Stefan Skwieciński, Hania Straszewiczówna, Hania Krukowska, Polka, Wiochna, Kraska leśna, Ada K., Biruta.

2) dwóch zadań — M. Naramowski, Młot, Amatorzy kwadratowych jabłek, Sokół Lit., Wieśniaczka z Drobińskiego, Azurea, Gorejąca pochodnia, Łowiczanka, Niebieska Perełka, Halka z nad Teterowa, Incognito, Rózyzka z Gródka, Dzika Litwinka, Srocza biał., Przyrodnik in spe, Żabka z nad Rosi, Irenka Ciesielska, Iris, Żmudzinka.

3) jednego z zadań — Mefisto, Z. G., R. G., Mania Mickiewiczówna, Rusalka, Mimoza.

Zabawnie niektórzy czytelnicy rozwiązywali figiel: oto z trzech stron fortecy ustawiali po 100 żołnierzy, a z czwartej od granicy ani jednego. Ładnieby obronił dowódca fortecę, gdyby usłuchał tych czytelników, co stronę twierdzy najbardziej narażoną na napad nieprzyjaciela radzili pozostawić bez żołnierzy!..

Prócz podanych w zeszłym numerze zadania z N. 36-go rozwiązywali również następujący czytelnicy: M. Naramowski, Mania Mickiewiczówna, Zosia Kulikowska, Warszawianka I, Hania Straszewiczówna, Wiochna, Rusalka, Stacha Henneberżanka, Rózyzka z Gródka, Srocza biał., Irenka Ciesielska, Tadzio Guirard.

Lista rozwiązujących zadania konkursowe z N. 36-go zamknięta.

Aes

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna — miesięcznie w Warszawie kop. 35.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Okładka: Wzory robót dla pańienek i wyrzynanie na drzewie. — Od redakcyi. — Ogłoszenia. — Numer: Przerwany nastrój, przez Z. Bukowiecką (z ryc.) — Panna Figlarska, krotchwila w jednej odsłonie. — Ucieczka Kary Mustafy z pod Wiednia (ryc.) — Z Danii przez Maryę Weryho (z ryc.) — Ze świata — Łamigłówki i rozwiązania. — **Dodatek:** — Ukarańcy potnicy, wiersz przez Lacha (z ryc.) — Moje opowiadania, przez Zofię Bukowiecką. W krainie cukierków, E. Br. M. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

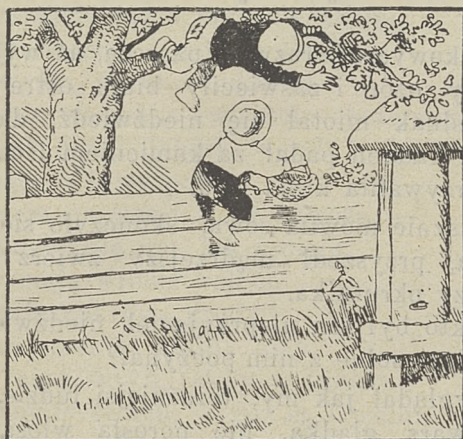
Bezpłatny dodatek książkowy: Chłopiec okrętowy. Przełożyła O. K.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою. Варшава 14 Сентября 1903 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

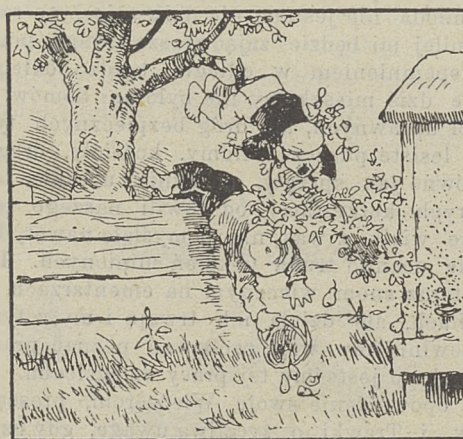
W drukarni Noskowskiego, Warecka 15.



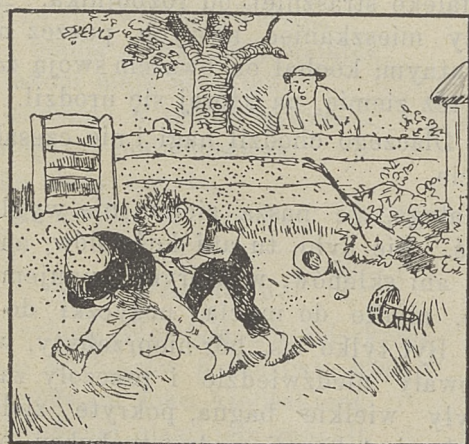
Ukarani psotnicy.



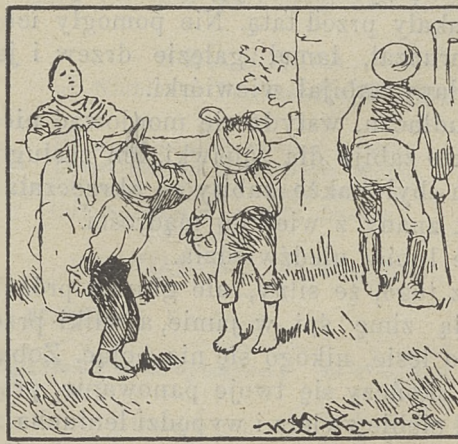
Zły postępek źle się kończy
 Macie dowód na przykładzie:
 Franek z Wojtkiem chociaż mieli
 Dosyć gruszek w swoim sadzie,
 Do złego jednak gotowi
 Weszli w szkodę sąsiadowi.



Nazrywali pięknych gruszek
 Pełny koszyk już bez mała,
 Franek jeszcze dalej sięga,
 Naraz gałąź się złamała
 I obydwaj w jednej chwili
 Na ziemi się położyli.



A na domiar tej przygody
 Sprawa stała się niemiłą:
 Oto gałąź upadając,
 Uł z pszczołami potrąciła,
 Czem znów pszczoły rozsierzone
 Rzuciły się w chłopców stronę.



Z płaczem do domu wrócili
 Potłuczeni, pokąsani,
 Miał pocieszyć matka jeszcze
 Ostro im postępek gani;
 Oboleli, opuchnięci
 Będą mieli go w pamięci.

Adam Lach.

Zofia Bukowiecka.

MOJE OPOWIADANIA.

Do czytelników „Wieczorów.”

Jesteśmy dawnymi przyjaciółmi. Wy czytelnicy Wieczorów, spotykaliście nieraz nazwisko moje w naszym kochanym piśmie, ja z ciekawością i serdecznym zainteresowaniem śledziłam za liścikami, pisywanymi do Jaskółki i pokochałam korespondentów, ukrytych pod pseudonymami; Iskierkę, Muszek, Sokołów, Raczków, Muszelek, Trawek i Żabek. Liczna to rzesza. Jaskółka słusznie chlubić się może przywiązaniem tyłu serduszek, które szukają u niej dobrej rady i umocnienia w szlachetnych przedsięwzięciach. Dla tej gromadki, nieznanych mi, dalekich, a jednak i znanych i tak bliskich, postanowiłem napisać coś wyłącznie miłego, coś co nas zbliży jeszcze, bo jestem pewna, że kochacie to, o czym ja z miłością mówić będę.

Ludzie starsi chętnie opowiadają o dawnych czasach, ja już też wcale młoda nie jestem, nie dziw więc, że rozmyślając, czem najmilej mi będzie zająć waszą uwagę, postanowiłam wrócić wspomnieniem w odległe, bardzo odległe lata kiedy tu, gdzie dziś mieszkamy nie było ani domów, ani kościołów, ani pól uprawnych, ani dróg bezpiecznych tylko bagna i wielkie lesiste puszcze. Domy, kościoły, drogi, uprawne pola, zarówno jak sprzęty, naczynia, ubrania, to są bogactwa, z których korzystamy od chwili naszego przyjścia na świat. Może wielu z was nie pomyślało nawet, komu je zawdzięcza, nie oceniło trudu pokoleń minionych. Te pokolenia śpią już teraz snem wiecznym na cmentarzach i po samotnych mogiłach, ale dzieła ich trwają i my z tych dzieł korzystamy; powinniśmy więc próbować poznać pracę przeszłych wieków skoro jesteśmy tej pracy dziedzicami.

Posyłam opowiadanie swoje Wieczorom, prosząc Was, Raczki, Sokoły, i Trawki o życzliwą uwagę, gdy czytać będziecie.

I.

Rodzina niedźwiedzia. — Król w złym humorze. — Co mówiła sowa? — Kto zabił niedźwiedzia? — Jak wyglądał pierwszy osadnik puszczy? — Dlaczego Bóg dał człowiekowi rozum? — Pierwsze narzędzie. — Postęp i obowiązek.

Niedźwiedź, król lasu, był w złym humorze. Próżno żona, pani niedźwiedziowa głaskała go po kosmatym łbie i przymilała się grzecznie, próżno młode misięta skakały przed tatą. Nie pomogły ich figle, niedźwiedź mrucał, łamał gałęzie drzew i jednym machnięciem łapy zabijał wiewiórki.

— Fe, kudłacz, wstydź się mordować niewinne stworzenia; kto zabija dla zabawki, ten zasługuje na to, żeby sam był także zabity — skrzeczała sowa, a jest to ptak znany z wielkiej mądrości.

Sowa nie lubiła niedźwiedzia.

— Cóż z tego, że silny, ale głupi i próżniak — mówiła — całą zimę śpi w jamie, a wilki przez ten czas hulają po lesie, nikogo się nie bojąc. Zobaczysz, niedźwiedziu, skończy się twoje panowanie, przyjdzie mądrzejszy od ciebie zwierz i wypędzi leniucha z lasu.

Tak przepowiadała sowa, lecz dotąd nikt wierzyć jej nie chciał, bo wszystkie zwierzęta bały się niedźwiedzia.

Strach, moi młodzi przyjaciele, jest złym doradcą, każdego ogłupi. Zdarza się, że dorosły człowiek, jeśli nie ma odwagi spojrzeć w oczy niebezpieczeństwu, jeśli da się nastraszyć, to traci

rozwagę i popełnia nawet nieszlachetne postęпки. Dlatego to gardzimy tchórzami a kochamy odwanych ludzi. Zwierzęta w puszczy były tchórzami, drżały przed złością niedźwiedzia, chociaż nikt z nich nie odgadywał przyczyny jego gniewu. Kudłacz już teraz nie mrucał, o nie! Pędził z całych sił na brzeg lasu, zające i sarny ustępowały mu z drogi, on zaś biegł, skacząc niezgrabnie przez wywrócone pnie drzew, które zawały przejście. Pni było w tem miejscu bardzo dużo, a raz po raz rozlegał się po puszczy huk zwałonej sosny. Ten to huk gniewał niedźwiedzia.

— Kto łamie moje drzewa? — kto śmie robić hałas w puszczy? — mrucał miś, a w tem nagle wyróciła się sosna przed jego nogami i ostre igliwia zacięły mu oczy.

Ryknął niedźwiedź z bólu, podniósł łeb do góry, stanął na tylnych łapach, żeby przydać sobie wzrostu, ale w tej samej chwili kamień strzaskał mu szczękę.

Zaskowyczał, rozwarł paszczę, aż wyjrzał z niej czerwony ozór i zaświeciły białe ostre kły. Daremnie jednak miotał się niedźwiedź, daremnie wył i ryczał, kamień padał za kamieniem i cała góra kamieni przywalała króla lasu.

Słuszaie mówiła sowa, skończyło się panowanie leniucha, przyszedł mądrzejszy zwierz i wypędził z puszczy okrutnika.

A kto był ten nieprzyjaciel niedźwiedzia, który tak mądrze sobie z nim poczynił?

Wyglądał jak my, terażniejsi ludzie, miał ręce, nogi, twarz gładką, nie porosłą włosami, wznosił w górę oczy, bo zastanawiały go gwiazdy, księżyc i słońce, nie był więc podobny do zwierząt zamieszkujących las, ale różnił się też bardzo od dzisiejszego człowieka. Nie miał na sobie koszuli ani żadnego ubrania, okrywał ramiona zakrwawioną i zeschniętą skórą niedźwiedzia, ona to chroniła go przed mrozem i deszczem. Nie obcinał włosów ani paznogi, nie golił brody; potargany, brudny wyglądał strasznie, daleko straszniej od rozbójnika. A jednak ten pierwszy mieszkaniec naszych puszczy nie był złym ani okrutnym; kochał on owszem swoją żonę i dzieci, kochał też ziemię, na której się urodził.

— Dlaczego chodził nagi i nie cesał włosów? — zapytacie.

Dlatego, że nasza ziemia nie wyglądała wtedy jak dziś. Nie było tu ani kościołów, ani miast, ani wiosek, ani sklepów, w których kupujemy płótno na koszule, mydło do mycia, nożyczki do ostrzyżenia brody. Był tylko las, bór nieprzebyty, w którym gospodarowały niedźwiedzie i pszczoły zakładały barcie, były wielkie bagna, pokryte zieloną pleśnią, z gniazdami żelaznej rudy, tu bobry budowały domy, były nareszcie rzeki z szumem biegnące do morza.

(d. c. n.)



W krainie cukierków.

przez E. Br. M.

(Dalszy ciąg).

V.

Powrót.

Gdy obejrzeni wszystko dokładnie,
— Już wam — rzekł Piernik — wracać wypadnie
Ale zajedziem w pierw do śpichlerzy,
Oto są dla was małe kufierki,
Bo się na zapas zdadzą cukierki. —
Poszli gdzie śpichrów stoją szeregi,
Gdzie skład rozlicznych łakoci leży,
I napełniają kufry po brzegi.

Karmelek rzecze, skończywszy wreszcie;
— Stąd bierze każdy co chce, nie strzegą!
Tylko was proszę, zawsze się strzeżcie,
By nie nadłamać gmachu którego!
Teraz wracajcie już z przysmaczkami,
Częstujcie drugich i jedzcie sami,
Obcy pomyślą, że to z cukierni,
Lecz mamie wszystko zwierzcie obszerniej,
Bądźcie jak dotąd dobrzy, weseli,
A co sobota o tejsze porze,
Przyjeżdżam po was i znów odwożę. —

Dzieci dziękują mu, jak umieją,
Do domu mają wrócić koleją.
Jadą, mijają cukrowe grody
Spiętrzone górskiej krainy lody,
Aż się w cień skryli, jakby w tunelu.
Stają w ciemnościach, — już są u celu:
Gwar parowozu cichnie daleko,
Dzieci nad głową podniosły wieko,
Jak im konduktor zlecił pocichu,
I przy dniu, który nagle się złoci,
Wychodzą, z skrzyni puste — na strychu!
Przy niej kufierki pełne łakoci.

Teraz w radości bieżą przez schody,
Witają mamę wesołą twarzą,
Oddają cukry, — pierniki, — lody,
O cudach owych wesoło gwarzą...
Śmieje się mama z przygody dzieci.

Odtąd łakoci mają dostatek,
Mama je codziela w miarę wydziela,
Na legominę, na podwieczorek,
O ile tylko służy ochota,
Bo nowy zapas jest co sobota!

VI.

Przewinienie.

Pewnej soboty Wańdzia z braciszkiem,
Jak zwykle w Cukrów Królestwie byli,
Już się niejednym soku kieliszkiem,
Już się niejednym ciastkiem raczyli.
Byli u karla Maczka, z wizytą,
Potem gościli w mieście stołecznem,
Gdzie ich raczono ucztą obfitą,
Lecz i obejściem bardzo serdecznem.
Teraz by spocząć w cieniu i chłodzie
Usiedli sobie w miejskim ogrodzie.

Grządki tu z tortów, a dla ozdoby
Na nich prześliczne z cukru wyroby.
Dokoła krzewy, kwiaty i drzewa,
Które małmazji strumyk oblewa,
W zieleni trawy, jakby wśród łączki,
Z cukru jelenie, sarny, zajączki.
Dalej wśród krzewów, gdzieś na uboczu,
Była przynętą wielką dla oczu
Wysoka wieża, owoc ją składa
Smażony w cukrze, albo też w miodzie.
Więc patrząc na nią z ławki w ogrodzie,
Tak do braciszka Wańdzia powiada:
— Posłuchaj Józiu, jużesmy dawno,
Owoców w miodzie nie kosztowali.
— Zjemy — rzekł Józio — jutro najdalej.
Lecz spojrzął z chęcią na wieżę sławną.
A Wańdzia rzekła, — szepnęła raczej:
— Jesteśmy sami, nikt nie zobaczy,
Gdybyż skosztować nieco od góry?
Nawet by śladu nie miały mury!
I zaraz łącząc uczynek z chętką,
Nim Józia trwożna zabrzmiała rada,
Biegnie i kawał odgryza prędko.

(d. c. n.)

ZADANIA.

ZAGADKA W OBRAZKU.



Gdzie jest ptak, na którego czatuje kot?

SZARADA.

ul. Niebieska Perelka dla Wiochny.

Pierwszej szukaj w liter rzędzie,
Drugie znowu w liczbach będzie,
Wszystko wszyscy mają w świecie:
Czy to starzec, czy to dziecko.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 37-go.

Rebusu: R a d o m.

Lamigłównki w trójkącie: **G r o d n o**
 r y n e k
 o r k a
 d n o
 n a
 o

Figla: XX — 99 = 11.

Zadania konkursowe z dodatku N. 37 trafnie rozwiązały następujący czytelnicy:

1) wszystkie trzy zadania — Żmudzinka, Przyrodnik in

spe, Ada K., Kraska leśna, Polka, Henia Krukowska, Azurea, Hania Straszewiczówna, Muszka z Krakowa, Sokół Lit., Stefan Skwieciński, Amatorzy kwaśnych jabłek, Młot, M. Naramowski, Wisienka, Mazur, Ed. Domagalski.

2) *dwa* zadania — Mefisto, Z. G., R. G., Mania Mickiewiczówna, Wieśniaczka z Drobińskiego, Wiochna, Gorejąca Pochodnia, Łowiczanka, Niebieska Perełka, Halka z nad Teterowa, Incognito, Mimoza, Różyczka z Gródka, Dzika Litwinka, Srocza z Gródka, Stacha Henneberżanka, Rusalka, Wiochna, Hania Straszewiczówna, Warszawianka I, Zosia Kulikowska, Mania Mickiewiczówna, M. Naramowski.

3) *jedno* zadanie — A. Kalusińska, Pszczółka z nad War ty, Zośka.

Zadanie konkursowe z dodatku do N. 36-go rozwiąza li prócz ogłoszonych poprzednio jeszcze następujący czytelnicy: Tadzio Guirard, Irenka Ciesielska, Srocza biały, Różyczka z Gródka, Stacha Henneberżanka, Rusalka, Wiochna, Hania Straszewiczówna, Warszawianka I, Zosia Kulikowska, Mania Mickiewiczówna, M. Naramowski.

Lista rozwiązujących zadania konkursowe z dodatku N. 36 ostatecznie już zamknięta.

Aes.

Skrzynka do listów.

Zwracamy uwagę naszych czytelników na wzory robót i robótek na okładce dzisiejszego naszego numeru; zamieściliśmy je w nadziei, że w istocie posłużą za wzór i zachęcą w wolnych chwilach do podobnego rodzaju zajęć.

Przeczytajcie też uważnie odezwę Redakcyi; kto nie posiada wymienionych w niej książek i książeczek będzie miał sposobność powiększenia swej biblioteczki nader małym kosztem.

Przyfrunęłam z wakacyi do Warszawy, rozglądam się w starem gnieździe, nasłuchuję czy nie dolecą znajome głosy i z bijącym sercem czekam poczty. Nie zawiodła mnie nadzieja, są listy, jest ich nawet dużo! Pamiętano o Jaskółce choć odleciała daleko, teraz znów i ja i wy moi drodzy korespondenci pracować będziemy pilnie, każde wedle sił. Przy pracy znajdzie się zawsze czas na list, że jednak czasu oszczędzać należy, unikajcie proszę próżnych słów nie piszcie na przykład „znudziłem Jaskółkę, wyczerpałem jej cierpliwość, nie śmiałem zacząć korespondencyi.” Zapewniam was z góry, że listy wasze są mi bardzo drogie, że szczerze was kocham, i że gorąco pragnę dać każdemu dobrą radę, okazać współczucie w smutku, cieszyć się waszą radością, zawsze zaś dążyć razem z wami do coraz doskonalszego spełnienia obowiązku — to cel naszej korespondencyi — prawda?

A teraz w imię Boże zaczynamy! więc wsuwam rękę w torebkę z listami i na los szczęścia wyjmuję pismo... **Łowiczanki**, która od wakacyi jest już czwartoklasistką i niedługo pewnie zapisze się w poczet starsuszek. Życzę ci aby spełniły się twoje pragnienia ukończenia nauk w rodzinnem mieście. Piękne ono zielonością ogrodów, murami starego kościoła i barwnością stroju okolicznego ludu. Jakże łatwo możesz przybrać sobie pokój miejscowemi kilimkami, stokroć one miłsze od najpiękniejszych dywanów.

Pytasz mnie **Pimpinello**, co sądzę o twojem piśmie. Otóż bez pretensyi do grafologii powiem, że uderzyło mnie ono swoją pozorną wyrazistością, przypatrzwszy mu się jednak bliżej poznałam, że nie łatwo je odcyfrować. Czy nie jest tak czasem i z twoim charakterem? Wszystko co o sobie donosisz składa się na obrazek miły, barwny, ale dość częsty w pewnych warunkach otoczenia, a jednak z pod programu przeciętnej dorastającej panny wyzierają wcale niezwykłe rysy. Do tych zaliczam twój moralną *kuracyę*, życząc całem sercem, aby się udała, bo powinniśmy dążyć do doskonałości. Zajęciu się ubogimi dziećmi i ćwiczeniu się w szyciu, którego nie lubisz, przyklaskuję także. gorąco.

— Odpisz — że mi prędko — prosi **Miri** i znów gniewać się będzie na Jaskółkę za długie milczenie. Ależ twój list z 5 Lipca doszedł mnie teraz dopiero, przebac mimowolną zwłokę i donieś czy nie zaszkoziły ci niedojrzałe owoce zajdane w czasie pobytu u babci. Zabawna rzecz wymknęła ci się z pod pióra, piszesz, że babcia mieszka z synem „niezameżnym kawalerem.” Niewinna to omyłka, ale, należy się wystrzeżać i takich, zarówno w listach, jak i w mowie. Unikniemy wtedy poprawek i napomnień, na które ty zresztą **Miri**, bardzo rzadko zasługujesz.

Polonez A-moll przeprasza za smutny list, a przecież najdroższym prawem przyjaźni dzielić ból drogich nam osób. Nie mam współczucia dla urojonych zmartwień, gdyż te najczęściej wypływają z egoizmu, ale stracić ojca, rozłączyć się z rodziną, jest prawdziwem i wielkiem nieszczęściem. Pamiętaj tylko, że najlepsze dajemy świadectwo zmarłym rodzicom jeśli staramy się przez miłość dla nich postępować w dobrem i naśladować ich cnoty.

Słusznie ci się należy twój pseudonim **Wajdelotko** bo umiesz czcić swoje bogi i strzedz Znicza zacnej tradycyi. Podzielałam także chęć uczenia ubogich dzieci, pamiętaj tylko, że i samej jeszcze uczyć ci się trzeba, a zwłaszcza dbać o czystość języka i pisownię dobrą.

Stokrotka z gub. Podolskiej bardzo miłutki napisała liścik. To o co pytasz jest tajemnicą redakcyi, ja także niecierpliwie czekam jaki będzie koniec ciekawego opowiadania.

Pragniesz zgadnąć od kogo słyszałam o tobie **Janinko S.** Alboż nie wiesz, że świegot ptasi szeroko i daleko roznosi sławę zdolnych i dzielnych uczniów, jak twój brat, któremu życzę pomyślnych studyów, lub jak twoja siostra, o której wiem, że nie tylko piękna ale i dobrą być potrafi. A może mówiła mi o tem kochana ciocia Marynia, ona o tobie także wiele powiedzieć może. Ja ci życzę żebyś była do niej podobna i jak ona użyteczna.

Dla czego **Pozłucany Dyable**, wybrałaś sobie, taki pseudonim, wolałabym, aby moi korespondenci wdzięczniej sze nosiły miana. Zadania własnego układu zawsze możesz przysyłać do redakcyi i gdy tylko będą odpowiadały wymaganiom, spodziewać się zaliczenia ich do druku.

Chcesz wiedzieć, **Iris**, kto ja jestem? Pocóż ci ta wiadomość? Czy ci nie wystarcza przekonanie, że życzliwą jestem wszystkim bez wyjątku korespondentom, że chcę wam służyć zawsze dobrą radą, że z całą gotowością jestem zawsze na wasze usługi, jak na przyjaciółkę prawdziwą przystało. Bardzo zadowoleni jesteśmy, że ci się „Wieczory” podobają, a list twój jest dowodem, że praca redakcyi cel zamierzony dostarczania czytelnikom nauki i rozrywki, osiąga z powodzeniem. Kierownik działu zadaniowego oświadczył, że wszystkie twoje rozwiązania zostały zaliczone. Spodziewam się, że powiększysz grono moich stałych korespondentek. Nr. 36 został ponownie wysłany.

Objasnienie żadanego wyrazu znajdziesz wkrótce **Inco to** w „*Naszej encyklopedyi*.” Do dzisiejszego numeru było już zapóźno.

Hulce z nad Teterowa w imieniu ubogich uczniów, za nadesłane książki szkolne przesyłam podziękowanie.

Serdecznie dziękuję wam **Muszko z Krakowa** i **Szarotko z Tatr** za karty z fotografiami waszemi i waszych miłych braciszków. Sprawiliście mi ogromną przyjemność.

Dziękuję **Niebieskiej Perełce**, **Pimpinelli** i **Jąskowi Podlasińskowi** za śliczne karty, a na **Dzikusa z Ustronia** wcale się nie gniewam, chociaż zapomniał o mnie przy zbieraniu grzybów i jagód.

Córa Lechitów bardzo miłemi słowy przypomina się mojej pamięci. Ja także nie zapomniałam cię Córa i proszę, daj obszerniejszą o sobie wiadomość waszej

Jaskółce.

Odpowiedzi działu zadań przeniesione na okładkę.